

MARTA GUZOWSKA // LESZEK TALKO

LUCJA SŁOTKA

SEZON 1
ODCINEK 2



**Milioner, który
napisał testamenty**

WIELKA LITERA



[fragment książki](#)

MARTA GUZOWSKA // LESZEK TALKO

LUCJA SŁOTKA

**Milioner, który
napisał testamenty**

TOM II

Rozdział 1

„Oczekuj niespodziewanego” – mówi stare przysłowie i chciałabym spotkać mądrą, który je wymyślił. Już widzę, jak biega po apartamencie w alei Róż, rozstrzygając co chwilę dylematy w rodzaju: „Pani szanowna, a ten ornament to gdzie dać?”. I kiedy rozstrzygnie już wszystkie, rozlega się dzwonek u drzwi i pojawia się niespodziewane we własnej osobie – czyli Jan Koniecpolski.

Och, przepraszam. Nie Jan Koniecpolski, tylko John Polend. Zapewne zde gustowany trudnym do wymówienia nazwiskiem zmienił je na podobne (choć nie do końca), kiedy tylko jego stopa dotknęła australijskiej ziemi jakieś pięćdziesiąt lat temu.

Zmiana nie pomogła, Jan Koniecpolski był zde gustowany wszystkim od urodzenia. Z całą pewnością bardzo nisko ocenił starania matki, ojciec również niespecjalnie przypadł mu do gustu, a reszta życia nie okazała się tym, czego oczekiwał. Nie omieszkał więc dawać światu do zrozumienia, jak bardzo jest tym wszystkim zde gustowany.

Niewykluczone, że był także zde gustowany własnym wyglądem, chociaż nie pomyślelibyście o nim „emeryt”. To ten typ faceta, którego ogląda się w reklamie rejsów oceanicznych: z burzą siwych włosów, opalenizną i wyraźnymi efektami operacji plastycznych (Polend przeszedł co najmniej dwie – plastykę oczu i wszczepienie

implantów policzków). Brakowało mu tylko fajki i kapitańskiej czapki.

Wielu ludzi cieszyłoby się także, że ich wartość netto wynosi dwanaście przecinek sześć miliona dolarów (oczywiście sprawdziłam). Ale nie John Polend. On był zdegustowany faktem, że jego dom w Melbourne kosztował zaledwie cztery miliony dolarów, podczas gdy dom Billa Gatesa był dwadzieścia pięć razy droższy. Nie wspominając o reszcie aktywów na koncie, które byłyby wyższe, gdyby nie niekompetentni pracownicy. Sądząc po zdegustowanych słowach Polenda, skutecznie ogałacali go z gotówki, co uniemożliwiło mu w wieku osiemdziesięciu lat kupienie porządnego jachtu z lądowiskiem dla helikoptera.

Krótko mówiąc, ten oto człowiek stał w progu mieszkania z grymasem zdegustowania na twarzy i byłam w stanie założyć się o milion dolarów (w gotówce), że zaraz powie: „Jestem zdegustowany”.

Wiecie co? Wygrałabym ten zakład.

Odkąd pracuję jako Home Disaster Manager, niewiele rzeczy mnie zaskakuje. Telefon w środku nocy podczas jazdy samochodem, kiedy akurat policjant zatrzymuje mnie za przekroczenie prędkości, również mnie nie zaskoczył. Podobnie jak natarczywy głos, domagający się rzeczy niemożliwych.

– Pani Łucja Słotka?

– Lucja – poprawiłam, dając policjantowi znak, żeby poczekał chwilę z tym mandatem.

– Pani Łucjo. – Głos w słuchawce nie przyjął do wiadomości pomyłki. – Proszę dla mnie szybko kupić i wyremontować mieszkanie. Oczywiście w alei Róż, w Warszawie...

– Jakże ma być to mieszkanie? – zapytałam.

– Olbrzymie i oszałamiające – uściślił głos.

– I to już wszystko? – zapytałam.

– A, nie. W tym mieszkaniu ma się zebrać moja ukochana rodzina – dodał głos i wyczułam złośliwą satysfakcję. – Czy to zadanie pani nie przeraża?

– I to już wszystko?

– Potrzebuję kogoś na miejscu, kto będzie nadzorował remont. Przylatuję do Polski za miesiąc i nie mam czasu się w to bawić. Wszystko ma być na tip-top. Oczekuję, że stanie pani na wysokości zadania. Rozumiemy się.

To ostatnie nie było pytaniem, ale stwierdzeniem faktu.

– Rozumiemy się – odparłam i podałam sumę. Dwukrotnie wyższą, niż wynoszą moje stawki. Ale odbieranie telefonów w środku nocy i w środku rozmowy z policjantem ma swoją cenę i jest to cena wygórowana.

John Polend nie targował się, co kazało mi powtórnie przemyśleć stawki dla osób dzwoniących w złym momencie. Przemyślenia były krótkie: zdecydowałam, że następnym razem je podniosę. Polend powiedział natomiast, że wszystko ma

zostać dopięte na ostatni guzik, zwlekające z zakończeniem ekipy fachowców mają zostać rozerwane na strzepy przez dzikie zwierzęta (ujał to inaczej, ale do tego się sprowadzało), a zaginieni członkowie rodziny – odnalezieni i doprowadzeni na miejsce w kajdanach (to też ujał w nieco innej formie). Wszystko najpóźniej w dniu jego przyjazdu do Polski.

A teraz stał przede mną zde gustowany.

– Jestem bardzo zde gustowany. – Skrzywił się jeszcze bardziej, rozglądając się po apartamencie. – Tu wszystko jest jeszcze w proszku.

Nie wiem, jaki macie gust i czy lubicie rozety na suficie, meble kuchenne rzeźbione w liście, witraże między pokojami i podłogę intarsjowaną wstawkami z marmuru w drewnie sprowadzonym z dalekiego afrykańskiego kraju, gdzie zapewne pozyskano je z tysiącletnich drzew pod ścisłą ochroną, ale tak właśnie Jan Koniecpolski wyobrażał sobie luksus i ten blichtr bił po oczach. Wrażenie psuło tylko kilku robotników, którzy zwijali płachty foliowe i poprawiali ostatnie drobne niedoróbki. Ekipa sprzątająca robiła swoje w pokojach, w których oni już skończyli.

– Jak pani sobie wyobraża przyjąć tu dziś wieczorem moją ukochaną rodzinę?! – fuknął, zde gustowany. – Mówiono mi, że jest pani najlepsza, a tymczasem remont w powijkach, a ja musiałem sam złapać taksówkę na lotnisku, bo nie przysłała pani limuzyny.

Spojrzał na mnie z potępieniem przyprawionym pewną dozą zde gustowania. Wytrzymałam jego spojrzenie.

– Dwudziestego siódmego.

– Słucham?

– Byliśmy umówieni na dwudziestego siódmego. Taką datę przylotu podał mi pan w korespondencji. Dzisiaj jest siedemnasty.

– Nic podobnego! – oburzył się. – Proszę, tu jest mejl, który do pani wysłałem, z wyraźną informacją, że planuję imprezę rodzinną, przybędę rano i oczekuję, żeby wszystko było przygotowane.

– Dwudziestego siódmego. – Wskazałam mu palcem odpowiednie miejsce na wydruku.

Zerknął na kartkę i nawet jeden mięsień nie drgnął mu na twarzy. Większość ludzi poczułaby się głupio po wszczęciu awantury z powodu literówki, którą sami zrobili w mejlu. John Polend najwyraźniej do nich nie należał.

– Co w takim razie zamierza pani zrobić z moją rodziną?

– Ściągnę ich na dzisiaj.

Zgodnie z poleceniem odnalazłam wszystkie osoby z listy i wszystkie obiecały znaleźć wolny wieczór. Dwudziestego siódmego, nie siedemnastego. Ale nie dostawałam przecież obłędnie wysokiej gaży za to, żeby wszystko szło zgodnie z planem. Nigdy nie szło.

Polend zmarszczył brwi i rzucił okiem na swoją jedyną walizkę stojącą smętnie przy drzwiach.

– Reszta bagaży została na dole, niech ktoś się nimi zajmie – mruknął ponuro i ruszył w głąb mieszkania. – Nie wiem, dlaczego nie ma windy.

– Je też ściągnę – obiecałam i poszłam za nim. Gdyby dał mi z miesiąc więcej, na pewno znalazłabym architekta, załatwiła pozwolenia i materiały na dobudowanie windy zewnętrznej.

– Gdzie jest ten gabinet? – utyskiwał, zdegrustowany.

– Tutaj. – Wskazałam drzwi, które jeden z członków ekipy remontowej w popłochu omiatał z kurzu. Jego koledzy już się zmyli z tej części mieszkania, najwyraźniej kierowani zdrowym instynktem samozachowawczym.

Jan Koniecpolski, który uparcie nazywał sam siebie Johnem Polendem, kazał przeznaczyć na gabinet największe pomieszczenie, gdzie większość ludzi urządziłaby salon. Nie zamierzałam z nim polemizować. Tę większość ludzi musiałoby być najpierw stać na kupienie mieszkania w alei Róż za trzy miliony złotych.

Otworzył drzwi i skrzywił się lekko. U innych osób byłaby to daleko posunięta dezaprobata, ale w jego przypadku miał to być, jak mi się zdawało, wyraz uznania.

– Nie jest tragicznie – mruknął i podszedł do wielkiego biurka. Mebel należał kiedyś do Józefa Piłsudskiego, a teraz musiał konkurować z chińskimi wazami z epoki Ming, lampami (prawdziwym tiffanym!), szezlongiem obitym materiałem

w dzikie róże oraz niezidentyfikowaną rzymską rzeźbą bez głowy stojącą przy oknie.

Z westchnieniem ulgi zasiadł w obrotowym skórzanym fotelu i przesunął palcami po zielonym aksamicie powlekającym powierzchnię biurka.

– Piłsudski tego dotykał – rozmarzył się.

Nie wyprowadzałam go z błędu. Biurko było autentyczne, ale aksamit nowy, sama podpisywałam rachunki. Szansa, by Piłsudski go dotykał, była znikoma. Zresztą tkaninę ledwo dało się zauważyć pod przedmiotami, które zawały blat. Laptop z najszybszym procesorem dostępnym na rynku, błyskawiczna drukarka laserowa i ryza najdroższego papieru (musiałam się nieźle naszukiwać, żeby znaleźć jakiś naprawdę drogi) stanowiły wierzchołek góry lodowej. Oprócz tego były tam: szklana kula z bałwankiem, specjalny stojak z kolekcją wiecznych piór, srebrny wizytownik, nóż do papieru i zestaw kopert we wszystkich rozmiarach z welinowego papieru. Oraz klatka z ptakiem.

– To jest gwarek, o którego pan prosił – zaprezentowałam ptaka. Słowo „prosił” nie było tym, które nasuwało się jako pierwsze, ale postanowiłam trzymać się konwenansów. – Ma na imię Maciuś.

– Dlaczego tak głupio? – Polend był wyraźnie zdegustowany.

– Tak mu nadali na chrzcie – zaryzykowałam, ale Polend nie zareagował. Być może pięćdziesiąt

lat w Australii zatarło nieco jego znajomość niuansów mowy ojczystej. – Jest bardzo zdolny. To jeden z pięciu tak wyszkolonych gwarków w Polsce. Wyuczenie go kolejnych słów powinno zająć panu kilka minut.

Przejdźcie do porządku nad sumą, którą zapłaciłam za Maciusia, dopisaną do ogólnego rachunku, może natomiast potrwać dłużej. Gdyby Maciuś był z platyny i wysadzany brylantami oraz siedział w klatce ze szczerego złota, kosztowałby znacznie mniej.

Po raz pierwszy zobaczyłam na twarzy Polenda wyraz, który od biedy można by uznać za radość. Trwał ułamek sekundy. Gdybym mrugnęła, przegapiłabym go.

Polend pochylił się nad klatką.

– Dzień dobry! – powiedział, najwyraźniej na próbę. – Dzień dobry!

– Dzień dobry! – zaskrzeczał Maciuś. – Dzień dobry!

Jak już wspomniałam, nic nie dziwi Home Disaster Manager. Ale Maciusiowi udało się mnie zadziwić. Doskonale naśladował głos Polenda i jego polsko-australijski akcent.

– Stara rura – powiedział Polend.

– Stara rura! Stara rura! – powtórzył Maciuś.

– Stara wariatka – spróbował jeszcze raz Polend.

Maciuś powtórzył i to. Najwyraźniej nie było dla niego barier. Także moralnych.

Polend naprawdę wyglądał na zachwyconego. Przez ułamek sekundy. Potem mu przeszło.

– A gdzie szpila? – ocknął się.

Wskazałam na ozdobne podłużne pudełko. Mógł je przeoczyć w powodzi przedmiotów na biurku.

Polend zdjął pokrywkę, wyjął z pudełka ozdobną szpilę ze szkła z Murano i chwilę podziwiał pod światło.

– Ujdzie – stwierdził i schował. – To prezent dla Sabiny.

Szpila kosztowała mniej niż karma dla gwarka. Ale Sabina była dawną miłością Polenda i może nie zasługiwała na nic lepszego.

– Moja ukochana... – rozmarzył się Polend. – Pani Łucjo...

– Lucjo.

– ...widziała ją pani niedawno. Niech mi pani opowie o niej parę słów. Bardzo się posunęła w latach?

– Nie powiedziałabym – odparłam z rezerwą. – Elegancka starsza pani na emeryturze.

– Pewnie marna ta emerytura.

– Niestety dał mi pan za mało czasu, żebym zawarła przyjaźnie w urzędzie skarbowym i dowiedziała się szczegółów. Ale pani Sabina nie wygląda na biedną. Ma samochód i domek.

– Jaki samochód? – zainteresował się Polend.

– Huyndaia i30 – wyjaśniłam.

– Eeee... – skwitował. – To nie jest samochód dla ludzi. A ten domek duży?

- Na oko ze sto metrów.
- Bardzo mały – ucieszył się. – Nie mogę się doczekać, kiedy znowu ją zobaczę, po tylu latach. To już dziś wieczorem.
- Poprawił się w fotelu.
- Kto jeszcze będzie? Moja ukochana siostrzenica Marzena. Córka mojej siostry Marii, świeć Panie nad jej duszą.
- Edyta – poprawiłam. – Córka Marianny.
- Zawsze uważałam, że ma w sobie coś z Marzeny. Wspaniała osoba. Słyszałem, że nie najlepiej jej się wiedzie.
- Nie powiedziałabym. – Chrząknęłam. – Dwójka dzieci w prywatnych szkołach.
- Och, dziś każdy posyła dzieci do prywatnej szkoły. – Wzruszył ramionami. – Moja sprzątaczką w Melbourne też. A te dzieci Marzenki to mądre?
- Edytki.
- Mają jakieś stypendia?
- Tego nie wiedziałam.
- Ale w kraju ta prywatna szkoła, nie za granicą?
- W kraju – przyznałam.
- Polend zatarł ręce.
- A ten jej mąż? Mateusz.
- Mariusz – poprawiłam. – Producent telewizyjny. Ale od kilku lat bez sukcesów zawodowych.
- Rzutki człowiek, energiczny i zdecydowany. – Polend pokiwał głową.

Taktownie nie skomentowałam. Nasze spojrzenia na rzeczywistość najwyraźniej bardzo się różniły.

– No i ten mój siostrzeniec. Zabawki mu wysyłałem, kiedy był malutki, chociaż to straszny koszt taką zabawkę przysłać z Australii. Pisałem mu: „Tomeczku, takiego sterowanego samochodziku, jaki ci wujcio przysłał, to nikt mieć nie będzie” – westchnął Polend.

– Pana siostrzeniec ma na imię Sergiusz – sprostowałam.

– Bez sensu moje siostry ponazywały te swoje dzieci. – Wzruszył ramionami. – Ja na swoją sprzątaczkę w Melbourne wołam Jane. Na wszystkie. Wciąż się zmieniają, kto by to spał.

– À propos sióstr. Prosił pan, żeby pojawiła się też pana siostra – przypomniałam, chociaż słowo „prosił” znowu nie wydało mi się na miejscu. – Ta żyjąca.

– Ach, ona. – Polend był zde gustowany. – Stara rura.

– Stara rura! Stara rura! – zgodził się Maciuś. Najwyraźniej wart był swojej ceny.

– Uwierzy pani, pani Łucjo...

– Lucjo.

– ...że ona teraz nazywa się Skarga? Po mężu. I na wszystko się skarży.

– Stara rura! – potwierdził Maciuś, niepytany.

– No dobrze, dzisiaj o osiemnastej. Proszę dopilnować, żeby wszyscy byli punktualnie. Nie

znoszę spóźnialskich. Kiedy przychodzi moja sprzątaczką w Melbourne, czekam przy drzwiach z sekundnikiem.

– O osiemnastej. – Chce co do sekundy, dostanie co do sekundy.

– Przedstawię im testament... – Polend się zamyślił.

– Testament! Testament! – powtórzył Maciuś.

– A przewiduje pan poczęstunek? – spytałam.

– A tak, tak, oczywiście. Rodzinę trzeba przecież godnie podjąć. Zwłaszcza jeśli się nie widzieliśmy tyle lat, a z niektórymi to wcale, na przykład z moim stryjecznym wnuczkiem Metju. Poczęstunek, koniecznie. – Zastanowił się przez moment, po czym zadysponował: – Proszę zamówić jakąś pizzę, ale bez szaleństw. W końcu nie przychodzą się najeść. Powiedzmy: trzy pizze, widziałem reklamę, ta trzecia będzie za darmo. I koniecznie hawajskie z ananasem, bo one są w promocji. I może jeszcze kilka butelek coli.

– Też trzy? – zapytałam.

– Niech będzie pięć. Rodzinę trzeba przecież godnie ugościć. Aha, i jeszcze po dwie czekolady dla dzieci Marzeny, tej, która ma jakoś inaczej na imię. Porządne, z orzechami.

Skinęłam głową.

– Nie zapisała pani. – Zmarszczył brwi.

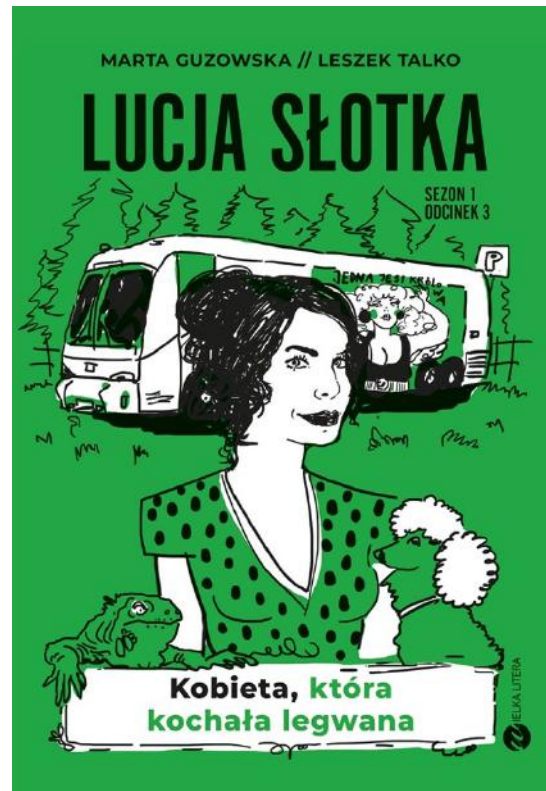
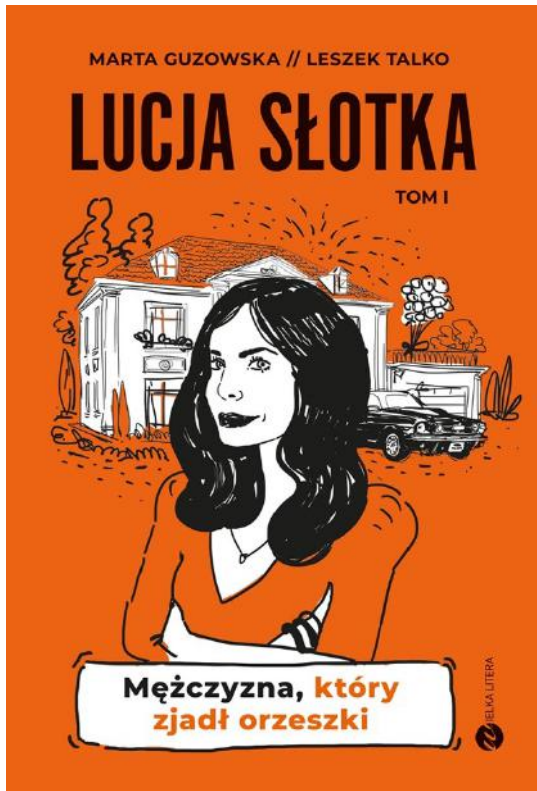
– Trzy pizze hawajskie, pięć butelek coli i cztery czekolady. Zapamiętam.

– I niech pani da to robotnikom, żeby się pośpieszyli. – Podsunał mi kopertę.

Zanim wyszłam z mieszkania, zamieniłam kilka słów z szefem ekipy. Najpierw narzekał na swój los, ale kiedy zajrzał do koperty, zbladł i przysięgł na prochy matki, że wszystko będzie zrobione przed szesnastą. Sądząc po grubości koperty, mógłby kupić najbliższą pizzerię.

Zeszłam na parter i wsiadłam do swojego forda mustanga. Miałam sporo osób do przywiezienia.

Może zainteresować Cię również:



Sprawdź nasze [NOWOŚCI](#)
Zapraszamy na wielkalitera.pl